

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 20 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 38

ANDRZEJ STRUG

31)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Jej szczere i ugruntowane sympatje prokoalicyjne, którym była wierna od wybuchu wojny, zawahały się już w pierwszych dniach jej pobytu na ziemi niemieckiej. Uderzyła ją niezgłębiona niedola narodu, który ginął, konał, ściągany nienawiścią całego świata. Sama nigdy nie odczuwała w sobie tej nienawiści. Narody były dla niej jeno ciekawymi odmianami plemienia ludzkiego i w jej ciągłych wędrówkach po szerokim świecie wszędzie było jej jednak dobrze na jakiś czas. Sama nie odczuwała wspólnoty ani ze swą ojczyzną Kanadą a zatem i z Imperjum Brytyjskim, ani z Francją, krajem ojcowskim, ani z państwami Skandynawskimi, skąd pochodził jej mąż. Podobały się jej pewne rzeczy w Rosji, w Niemczech, w Szwajcarji, wszędzie znajdowała upust dla swej ciekawości ludzi i krajów, obyczajów, typów, zagadnień i zagadek danego środowiska. Nadewszystko kochała niewyczerpaną rozmaitość ludów. Lubiła ich wzajemne zatargi, bawiły ją wszelkie „przesilenia“, rozmowy z dyplomatami zwaśnionych stron. Dla niej to dawano ciekawe przedstawienia, dramaty, komedje, farsy w ogromnym teatrze Europy.

Wybuch wojny dla Evy Evard był wielkim świętem. Zaczęło się upajające misterjum, prawdziwa tragedia narodów, pełna krwi, grozy i rozszalałych namiętności, niewyczerpana w efektach, w swoich niespodziewanych zaskoczeniach widza. Eva była niestrudzonym, nigdy nie sytym obserwatorem, pochłaniała perypetje katastrofy dziejowej, kochała chaos zjawisk i wydarzeń, starała się nawet odgadnąć sens, logikę wojny. Nigdy nie dawała się uwieść uczonym rozprawom, pisanim przez znakomitości światowe, ani rozbestwionej, wściekłej prasie, która wiedziała wszystko. Ani mądrym, poufnie szeptanym słowom polityków i dyplomatów, znawców rzeczy ukrytych.

Domyślała się dawno tej najgłębszej, utajonej prawdy, bez której nie było zrozumienia wojny — że rozszalały świat nie dał się ująć w żadne karby, że już w pierwszym roku wojny „wszystkie stery zostały złamane“, że wojną nikt nie rządził. Potoczyła się sama, rozpętana, nieodgadniona, w starciu z potęgą rzeczywistości oddawna już szalona. Skruszeni byli ludzie przodownicy, najmędrsi, najmężniejsi. Do ostatka wysiliła się ich myśl i o tej porze głowy państw, rządy, Główne Kwatery, miały się w popłochu, jak w płonącym domu. Na jednym stanęło wszystko, na martwym punkcie. Wojna utknęła w murowanych twierdzach — okopach, po obu stronach tak potężnych, że przełamać się nie dały za cenę żadnych ofiar. Z rozpaczki zrodziła się doktryna

absurdu — czekania na zużycie przeciwnika, na wyczerpanie jego sił, odporności, rezerw ludzkich i materiału. Czekanie przeplatane było rozpaczliwymi ofensywami, a za każdym razem padały setki tysięcy trupów, by jeszcze raz dać świadectwo obłędnemu urojeniu wodzów, że mur betonu i żelaza można przełamać ślepem posłuszeństwem żołnierza i jego żywym ciałem. Zbankrutowała strategia, zbankrutowała dyplomacja. Najwyższym nakazem, najwyższą cnotą stało się — trwać. Mijały lata i niszczały narody, chwiały się trony, a niczyja wola, niczyj geniusz nie zdołały wyłamać wojny z okopów i pchnąć jej na otwarte pole do rycerskiej szybkiej rozprawy. I wojna znikczemiała, stała się potworną rzeźnią bez ładu, bez sensu, bez celu.

Dreszcz zachwytu przenikał Evę na myśl, jaki będzie tej wojny koniec. Z ciemności nieprzeniknionej dla żadnego ludzkiego domysłu wynurzały się wizje o piekielnym uroku, koszarne, przysnione wyobrażenia klęsk i przewrotów, z których świat wyjdzie jako okryty ranami kaleka, obłąkany nędzarz, wspaśniały jeno ogromem swego nieszczęścia. Czy się odnowią i odrodzą wielkie narody Europy? Czy zwyrodnieją i zczezną? To było dla Evy wszystko jedno. Jej tajemną rozkoszą stała się myśl, że ona doczeka końca wojny i widzieć będzie to, co nastąpi dalej.

Ale dopiero tu w Berlinie stała się naprawdę neutralną. Po paru dniach odpadły sympatje dla tamtej strony. Niemcy wrzuciły ją swem osamotnieniem i niedolą, pociągnęły ją wspaśniałym schyłkiem swej epopei, gdy w obliczu nieuniknionej zguby, której widmo wychylało się już na każdym kroku, cały naród nie poddawał się rozpaczki, tylko zbierał wszystkie ostatnie swoje siły do walki na śmierć i życie. Nie pokochała bynajmniej Niemców ani ich straconej sprawy, poprostu w tragicznym swoim losie byli oni dla niej nierównie ciekawszy, niż tamci. Wszystko tu było nowe, a wreszcie dość miała jasných aniołów koalicji, walczących o prawdę i o sprawiedliwość, teraz zachciała już do końca być w obozie przeklętych przez świat szatanów Europy.

Po kilkunastu wizytach, po odnowieniu starych znajomości cała prasa powitała ją owacyjnie.

— Eva Evard z powrotem na ziemi niemieckiej!

— Eva Evard — wcielenie wiecznej neutralności sztuki!

— Eva Evard mówi nam o wojnie!

— Eva Evard wystąpi na wielkiej Akademji na rzecz niewidomych żołnierzy!

— Eva Evard przystąpiła do pracy nad podwójną kreacją Margarety - Brunhildy w filmie patryjotycznym „Bogowie Germanji” — wytwórnia Atlas - Film (van Trothen i Sp.).

A generał von Sittenfeld ponownie oszalał. Lata wojny pobielły mu skronie, wychudł na skąpym chlebie kartkowym i na przemarzniętych kartoflach, po przestrzeleniu przez oba płuca w Argonnach, w samym początku wojny, poruszał się wolniej i sztywniej, przepracowanie, udręczenia i gorzkie zawody służbowe, intrygi w ministerstwie, troska o los ojczyzny i dynastji wyżłobiły sieć zmarszczek koło oczu. Ale czarne oczy podawnemu pałały, gdy patrzył na Evę. Wzruszające było ich pierwsze spotkanie.

— Panie generale, przedewszystkiem winszuję szarzy. Gdyśmy się widzieli po raz ostatni, był pan podpułkownikiem.

— Evo, ty Evo! Niepodobna cię zapomnieć... Wiedz, że teraz tak, jak zawsze... Ach, ty najcudniejsza... W przeszłym roku wygrzebano tu stary twój film „Dziewczynka z nad jeziora”. Pamiętasz? Na szczęście, rzuciłem po drodze okiem na afisz... Przesiedziałem z rzędu przez trzy przedstawienia, telefonicznie odwołałem ważną konferencję, na której przewodniczyłem, nie mogłem się od ciebie oderwać. Wojna mi cię zabrała, wojna zabrała i mnie całego, przez te wszystkie lata na nic nigdy nie miałem czasu, ale nie zapomniałem, nie!

Generał w życiu Ewy był przelotnym czerwcowym tygodniem w uroczym zakątku Szwarzwaldu w przededniu wybuchu wielkiej wojny. Wspominała go przyjaźnie, ani mniej ani więcej, lecz tak samo, jak wielu jemu podobnych szczęśliwych a dorywczych wybrańców jakiegoś jej szalonego momentu. Teraz wzruszył ją potrosze wspomnieniem ostatnich dni dawnego świata, który już nie wróci nigdy. Zresztą generał był jej potrzebny w różnych sprawach i ważnych i drobnych, które też były dość ważne. Gdy wspomniała, że jej hotel nie ma opału, naza-jutrz samochody wojskowe nawiozły tyle węgla, że dykcja hotelu nie wiedziała, gdzie podziąć cały ten niewiarogodny skarb. Natychmiast wywieszono olbrzymi napis i rozesłano do gazet ogłoszenia — Hotel opala wszystkie pokoje do końca zimy — i podniesiono ceny o 15%.

* * *

W salonach reprezentacyjnych wytwórni „Atlas-Film” obchodzono uroczyste rozpoczęcie prac nad „Bogami Germanji”. Zaproszenia otrzymało około stu osób wybranych ze sfer literatury, sztuki, z pośród prasy, armji, parlamentu. Paru dygnitarzy państwowych i jeden minister przyobiecali swą obecność ze względu na wyjątkową wagę filmu dla propagandy w państwach neutralnych i dla podniesienia ducha w kraju. W istocie przybyła podwójna liczba gości i w salonach „Atlas-Filmu” zrobiło się ciasno. Wszyscy chcieli zobaczyć Evę Evard tembardziej, że przybywała po dwóch latach pobytu wśród nieprzyjaciela, z tajemniczych krajów, odciętych przez front. Była światową znakomitością, ale była w tych czasach i osobliwością, gdyż od wybuchu wojny żadna ze sław Europy nie zajrzała do znieawidzonego Berlina.

Eva królowała ze zwykłą swoją dostojną prost-

ta. Okazało się, że z łatwością mówi po niemiecku, co odrazu ujęło wszystkich. Była osaczona zwartem kołem natrętów, pełnych uwielbienia, a najpierwsi, jak zawsze i wszędzie, pchali się dziennikarze. Umiała to znosić z pogodą, a dziś była szczególnie ożywiona w tym tłumie najosobliwszych istot, jakby wywołanych i zgromadzonych tu na chwilę dla jej uciechy sztuką magiczną czystej fantazji. Roiała sobie, że lada minuta zgasną te wszystkie twarze i postacie, a ona ocknie się z powrotem w Paryżu, w Londynie i czytać będzie w gazecie, że gdzieś w przestrzeni świata za podwójną linią drutów, okopów i armat istnieje Berlin, a w nim fantastyczne stwory — odszczepieńcy rodu ludzkiego, wywołańcy Europy, winowajcy wszystkich klęsk świata — niemczury — les Boches. Wyglądali zaś zwyczajnie, jak ludzie, tylko w porównaniu z tymi z przed wojny mówili znacznie ciszej i byli Niemcami nie tak obcowsowo pewnymi siebie. Ich oczy, ich twarze stały się bardziej wyraziste, karki mniej potężne, wogóle spuścili z tonu i naogół spadli z ciała. Byli znacznie sympatyczniejsi. Niebawem zauważyła, że zarówno wśród oficerów, jak i cywilnych przeważali mizeracy lub ludzie starzy. Wszędzie widać było figury pokraczne, ułomne, garbate, chorowite, bezrękie, okulałe. Dorodni, dawni Niemcy byli na froncie, a tu zostały wybiorki ludzkości, oraz odpadki frontu — inwalidzi. I znowu uderzyła ją w dobre, czujące serce niedola nieszczęsnego narodu.

Zarzucano ją pytaniami, jak jest w Paryżu, co słycać w Londynie? Czy to prawda, że w Paryżu wszyscy mieszkają w piwnicach i w tunelach Metro? Że w całej Anglji szaleją rozruchy głodowe, że zbuntowane wojska kolorowe tudzież czarne opuściły front i okopały się na tyłach, paląc, rabując i gwałcąc kobiety w trzech departamentach?

— Jak pani mogła tak długo wytrzymać między mordercami, którzy uwzięli się wymorzyć głodem nasz naród?

— Jak pani odważyła się przyjechać między Hunnów, którzy pożerają żywcem dzieci belgijskie i francuskie? Podobno nasze ludożerstwo figuruje w filmach propagandowych?

— Czy Paryż zawsze jest tak uroczy? W początkach września czternastego roku byłem już bardzo niedaleko od rogatek St. Denis, ale wypadło mi zawrócić, zresztą zostawiłem tam jedną nogę...

— Pani Evo, „Bogowie Germanji” będą Pani najświetniejszą kreacją. Albowiem tylko na naszej ziemi zobaczy pani maximum niedoli i maximum męstwa...

— Pani zaświadczy przed Europą, że niema takiej mocy, która zdołałaby poniżyć naród niemiecki...

— Mój Boże, my biedne Niemki wyglądamy przy pani, jak wyrobnice. Jakże niewiarogodnie zmienia się moda! A my wciąż chodzimy po dawnemu.

— Pani Evard — pani pozwoli — pan minister spraw wewnętrznych...

— Pani Evard, pani pozwoli — pan poseł von Hundius...

— Pan poseł Saltwedel...

— Pan tajny radca Bunterbardt...

— Pan Dithforth, autor dramatyczny...

— Pan Amberger, artysta-malarz...

— Pan redaktor Gaester...

(D. c. n.).

M A Y E R L I N G

20)

— Pójdę z tobą tam, dokąd zechcesz, mój najukochańszy!

Zapukano do drzwi.

— Nie obawiaj się kochanie, to Loschek.

Był to istotnie Loschek, który oznajmił, że nadeszła już delegacja.

— To nie potrwa długo — rzekł Rudolf do Marji. — Muszę tym zacnym ludziom powiedzieć kilka uprzejmych słów. Nie bój się, kochanie. Nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo. Jesteś pod opieką Loschka.

Opuścił pokój i Marja została sama.

Była jakgdyby oderwana od samej siebie. Jedno słowo Rudolfa otworzyło jej odrzwia do nieznanego świata. Ten świat był wolny od ziemskich nawałnic. Kapał się w atmosferze bezwzględnej spokoju. Trawiące ją niepokoje i troski nie przestępowały progu tego świata. Nie było w nim walk, zwycięstw i porażek, nie było w nim okrutnej rozłąki, na którą nie masz lekarstwa i pocieszenia. Było to królestwo ciszy, spokoju i wiekuistego zespolenia.

Marja czuła się szczęśliwa. Nagle jakiś obcy głos wyrwał ją z głębokich rozmyślań. Brzmiał od strony małych drzwiczek, za parawanem. Otworzyły się drzwi. Usłyszała głos kobiecy, który przemawiał:

— Gdzie jesteś Loschku? Szukałam cię w małym apartamencie mojego syna.

Następnie rozległ się zakłopotany głos Loschka:

— Niech mi Wasza Cesarska Mość wybaczy! Arcyksiążę przyjmuje tu dzisiaj, więc towarzyszyłem mu.

Marja, zasłonięta parawanem, drżała na całym ciecie.

— Jak się czuje po powrocie z Budy?

Teraz głos zbliżył się.

— Arcyksiążę czuje się dobrze... Jest mu prawdopodobnie potrzebny wypoczynek, gdyż zmęczyła go podróż, ale to nic...

Marja, którą strach przykuł do miejsca, rozumiała, że Loschek czyni wszystko, co w jego mocy, ażeby nie dopuścić, by cesarzowa weszła w głąb salonu. Może być, uda mu się zatrzymać ją za parawanem.

— Powiesz mu, że przyszedłam tu, by się dowiedzieć o jego zdrowie.

— Arcyksiążę będzie wzruszony troskliwością Waszej Cesarskiej Mości.

Nastąpiło milczenie. Już Marja sądziła, że jest bezpieczna, gdy głos kobiecy odezwał się znowu:

— Chcę mu napisać kilka słów i zostawić na biurku.

Kilka pospiesznych kroków po posadzce, i cesarzowa, podchodząc do małego angielskiego biureczka, zauważyła zapłonioną, zawstydzoną, zmieszaną Marję, która nie wiedziała, jak się zachować.

Cesarzowa zawahała się, a następnie dodała z czarującą uprzejmością:

— Przepraszam, że przeszkodziłam pani.

A zwracając się żywo do biednego, zakłopotanego Loschka, dodała:

— Powinieneś być mnie uprzedzić, głupcze, że jest tu ktoś... Możesz odejść.

Loschek opuścił pokój.

Oczy cesarzowej spoczęły na Marji, która opadowawszy się wreszcie, pochylała się w czołobitnym ukłonie.

— Pragnęłam mieć wiadomość od Rudolfa. Napiszę do niego kilka słów, jeżeli pani pozwoli.

Usiadła przy biurku, położyła wachlarz, poszukała pióra, papieru. Spojrzała znowu na Marję.

— Widziała pani dziś rano mojego syna?

— Tak jest — odrzekła Marja szeptem, chyląc się w nowym ukłonie.

— Czy dobrze wygląda?

— Wydawał mi się nieco zmęczony.

— Biedny chłopak! — rzekła cesarzowa, raczej do siebie.

Wstała, a następnie dodała:

— Przeznaczenie jest ślepe. Nie był stworzony do życia, które dałam mu.

Jej głos, sposób akcentowania słów, nawet treść tego, co mówiła, przypominała żywo Marji Rudolfa. Tak byli do siebie podobni, że strach zniknął i ustąpił miejsce wzruszeniu.

Cesarzowa skierowała się w stronę drzwi. Więc miała odejść już? Teraz Marja pragnęła, by pozostała jeszcze. Czuła, że w tym wrogim świecie miała, być może, jedynego sprzymierzeńca — cesarzową.

Tymczasem, po chwili wahania, cesarzowa powzięła zamiar. Zawróciła, podeszła do Marji i rzekła:

— Nigdy, dotychczas, nie spotkałam pani, ale nie bywam nigdzie. Wiem jednak, kim pani jest. Nasze drogi nie miały się skrzyżować, ale ponieważ przypadek zetknął nas z sobą, pragnę skorzystać z tego. Proszę, niech pani usiądzie.

Wskazała Marji fotel, a sama usiadła na kanapie. Bawiła się przez moment wachlarzem, ułożyła tren czarnej sukni, nie spuszczając przytem oka z Marji.

— Jest pani jeszcze piękniejsza, niż mi mówiłono... I jak młoda pani jest!... Ile pani ma lat? Można, przecież, jeszcze zadać to pytanie.

— Mam siedemnaście lat, Pani...

— Siedemnaście lat! — powtórzyła cesarzowa. — Czy można mieć jeszcze siedemnaście lat?

Umilkła, i zapominając znowu o obecności Marji, dodała:

— Mając lat siedemnaście, byłam już zamężna i już nieszczęśliwa (spojrzała na Marję) i byłam tak jak pani, młoda i piękna.

Marja czuła się ośmieloną:

— Wasza Cesarska Mość jest zawsze piękna!

— Jak stara kobieta.

Słowa te, na które cesarzowa położyła nacisk, ryły kamień grobowca, pod którym leżała dawno pogrzebana młodość. Marja nie śmiała podnieść powiek. Słuchała równego bicia wachlarza.

Cesarzowa ciągnęła:

— Ile szczęścia w młodości, ile czaru! Daremnie walczymy z latami! Ile trudu zadajemy sobie, ażeby utrzymać powab młodości! lecz te policzki okrągłe, dziecięce, te oczy o bystrym spojrzeniu, ten czar uwodzicielski, gdzie odnaleźć to wszystko, gdy rozprasza się i znika!... Piękno i prawda jest w młodości. Istoty młode nie myślą się. Wszystko, co czynią, jest dobre... Do nich świat należy. Należałoby umierać młodo!...

Długą chwilę trwała zatopiona w swoich myślach. Poczem mówiła innym już tonem:

— Niech mi pani wybaczy, ale będąc przyzwyczajoną do samotności, marzę czasem na głos... Odchodzę już... Syn mój nie powinien zastać nas razem. Rada jestem, że widziałam panią. Teraz wiem, że pani jest piękna, i że niema w pani nic złego... Pragnę, ażeby syn mój był szczęśliwy. Ma przed sobą niewiele lat, na szczęście... A jednak to tylko jest ważne!... Lecz trudno jest uzyskać szczęście, gdy jest się następcą tronu... Lituję się często nad nim, żal mi go... Nie mówię mu tego. Mieszkamy w smutnym zamku... Pani wydaje mi się kwiatem... Niech pani nie wraca tutaj. Niezdrowe powietrze w Hofburgu. Kwiaty więdną u nas tak szybko... Pozwól, drogie dziecko, że cię pocałuję. Jesteś tak bliska mojemu sercu.

Wstała, ujęła Marję w ramiona i złożyła pocałunek na jej czole. Następnie opuściła pospiesznie salon. Jedwabna suknia szeleściła przy każdym kroku.

Marję ogarnęło wielkie wzruszenie. Opadła na kanapę, ukryła głowę w rękach i zapłakała cicho.

Otworzyły się wielkie odrzwia, zjawił się w nich Rudolf, przemawiający do delegacji, która znajdowała się w sąsiednim pokoju. Marja nie zauważyła tej sceny i nie usłyszała jego głosu:

— Panowie, dziękuję wam i mówię wam: do widzenia, w niedługim czasie.

Zamknęły się drzwi.

Rudolf spostrzegł Marję, leżącą na kanapie i płaczącą, jak małe dziecko. Podeszedł do niej, utulił ją i zapytał o powód łez.

Szybko uspokoiła się Marja. Była jednak głęboko wzruszona i opowiedziała mu z przejęciem o spotkaniu z cesarzową.

— Byłam tak przerażona, że bałam odezwać się słowem. Doprawdy lękałam się bez powodu. Zrozumiałam natychmiast, że ona przynajmniej nie chce rozłączyć nas. Lecz jest w niej coś — nie wiem, jak ci to wytłumaczyć — coś wielkiego, odległego a także tajemniczego, tak jakby znała rzeczy, których my nie jesteśmy zrozumieć w stanie... Używa prostych słów, a jednak treść ich jest tak głęboka... Nie myśl, że pragnęła nastraszyć mnie. Wręcz przeciwnie, była dla mnie dobra, a nawet czuła. Czy uwierzysz? pocałowała mnie... Być może, widziała wielkie zmartwienia, które grożą nam i, poszła za głosem litości. Nie powiedziała mi tego, ale odczułam to w jej sposobie bycia, w jej milczeniu, wyczytałam z oczu... Gdy wyszła, byłam tak wzruszona, że zaczęłam płakać, bez powodu. Widzisz, jaka jestem głupia...

Objęła go serdecznym uściskiem i mówiła:

— A jednak Rudolfie czuję się szczęśliwą; istnieje tylko jedno prawdziwe nieszczęście, rozłąka, lecz obrączka, którą mi dałeś dziś, uspokoiła mnie.

Zaczęły chodzić słuchy w najlepiej poinformowanych kołach dworu i miasta. „Nie jest prawdą — mawiali jedni — że następca tronu lubuje się tylko w rozpuście. Tym razem kocha...”

Sprytniejsi dodawali, że nie datowało to od wczoraj, i że nocne hulanki u Sachera miały na celu ukrycie prawdy przed oczami szerszej publiczności. Zachwycano się podwójną grą arcyksięcia Rudolfa i wytwornością, jaką pokrywał swoją miłość...

Lecz kogo kochał? Tutaj zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że piękna młoda panna podbiła serce mężczyzny, który dotychczas nie podarował go nikomu. Inni potrząsali głowami z wyrazem powątpiewania:

„Komu chcecie wmówić, że człowiek pokroju następcy tronu zadowolony jest najpiękniejszą nawet, ale gąską?” Wymiana spojrzeń w operze, przelotne spotkanie w Praterze (o spotkaniach w Praterze mówiono z całą pewnością), nie mogły chyba wystarczyć tak zblazowanemu człowiekowi? O widywaniu się z nią w zamkniętym mieszkaniu nie mogło być nawet mowy. Młodej panny, której nazwisko szeptało sobie na ucho, nie spotykano nigdzie samej. Towarzyszyła jej zawsze matka, albo hrabina Larisch Wallerse (słyszac nazwisko tej ostatniej, kilka osób — dla których towarzystwo wiedeńskie było pozbawione tajemnic — zamieniało z sobą porozumiewawcze spojrzenia i nie odzywało się słowem). Trzeba więc było zgodzić się na jedno, a mianowicie, że ta piękna młoda dziewczyna, której czarowi uległ bezsprzecznie arcyksiążę Rudolf, sama była parawanem. Kto ukrywał się za tym parawanem?... Najbardziej szczone psy gończe gubiły ślad... Opowiadano, że wytworna dama, należąca do arystokracji polskiej, Niemka z pochodzenia, z całą pewnością szpieg — lub, jeżeli to słowo przerażało was — agent tego djabelskiego, żelaznego kanclerza, który nierad z liberalnych poglądów, afiszowanych przez następcę tronu, pragnął tą aksamitną drogą prowadzić go po swoich torach... Wreszcie inni twierdzili, że jakaś mała mieszcza niebiańskiej urody tak zawróciła głowę następcy tronu, że Cesarstwo i Korona wydawały mu się tylko przynętą dla zdobycia tej skromnej osoby.

Cokolwiek było, wszyscy zgadzali się na jedno, że tym razem zmienny, nieuchwytny, nieobliczalny, nienasycony arcyksiążę ustalił się. Jeżeli zaś idzie o konsekwencje, jakie wynikną stąd dla państwa, korony, dynastji, partji politycznych, opozycji i rządu, dla armji i dla niego samego, niepodobna było nawet określić doniosłości, tak bardzo były skomplikowane, niepewne i zmiennie.

A jednak, zbyt wiele osób wymawiało nazwisko młodziutkiej baronówny Vetsery, ażeby to mogło nie obić się o uszy naszych bohaterów.

Hrabia Hoys, który żywił dla arcyksięcia prawdziwą przyjaźń i trzymał się zdala od wszelkich dworskich intryg, uważał za stosowne uprzedzić następcę tronu.

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszał od następcy tronu te proste słowa:

— Dziękuję ci, mój drogi. Istotnie, Kocham tę młodą panienkę. Lecz liczę na ciebie, że zadasz kłam wszystkim plotkom, łączącym jej imię z mojem.